



Bronisław Wildstein

część IV z IV

Sygnatura notacji: **N0567**

Data urodzenia: **11.06.1952 r.**

Data nagrania: **09.04.2024 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Knurowiec, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 61 min, część II: 61 min część III: 52 min,**

Format nagrania: **video** **część IV: 80 min,**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Bronisław Wildstein: To był też taki niesamowity czas, że walił się ten komunizm, bo ja jeszcze byłem w Paryżu, kiedy wróciłem właśnie z Polski, bo wymusiłem na Wolnej Europie, żeby mnie wystąpiła, chociaż trzeba jakieś specjalne dokumenty załatwiać, bo ja miałem ten francuski dokument uchodźczy, czyli titre de voyage, dokument, w którym było napisane: „tous les pays sauf. Polonais” – wszystkie kraje z wyłączeniem Polski. Musiałem jakieś specjalne... Nieważne, byłem wtedy w Polsce po raz pierwszy. Zresztą to było takie doświadczenie bardzo dla mnie znaczące. Zresztą ileś takich doświadczeń było takich znaczących. Pamiętam taką debatę, tzn. taką naszą, przyjacielską, emigracyjną u Sewka Blumsztajna. Tam były takie znane różne postacie, bracia Smolarowie, na pewno Aleksander Smolar, nie wiem, czy był Gienek Smolar. No, było ileś takich postaci i dyskutowaliśmy – co teraz robić jesienią 1989 roku. No dobra, komuna się wali, ale trzeba reformować gospodarkę. Jak ją reformować? Jest w fatalnej sytuacji. I na przykład ten przemysł ciężki, wiadomo, że on w tym kształcie nie przeżyje. Co można z nim zrobić? Ja wygłosiłem, zostało mi bardzo mocno, wygłosiłem taki tekst, że trzeba o tym zacząć rozmawiać głośno, otwarcie, bo to na razie jest takie spychane. Trzeba po prostu powiedzieć Solidarności głośno, otwarcie. Trzeba trochę tak jak Churchill, że będzie pot i łzy, na szczęście już nie krew, ale dzięki temu szybko coś będziemy mogli osiągnąć, przewyciężyć ten kryzys. W imię właśnie tej obywatelskiej postawy Solidarności. Wygłosiłem ten tekst i w tym momencie, taka znana postać, Andrzej Rapaczyński wrzasnął: „co za brednie wygadujesz! Nic im nie mówić, nic im nie mówić!”. I to, co powiedział, spotkało się z aprobatą. To, co ja mówiłem – nie, a to, co on powiedział, z aprobatą. To mnie po prostu, ja zbaraniałem z powodu zaimka. Zaimek mnie po prostu poraził, bo wcześniej byliśmy „my” – robotnicy, inteligencja, intelektualiści, Bóg wie co. My, naród. „Oni” – komuniści, ci, którzy z obcego nadania nam odbierają wolność, którzy nas upokarzają, rządzą w imieniu Moskwy. Podział był oczywisty i dla każdego jasny: „my” – „oni”. I nagle słyszę:

„nic im nie mówić, robotnikom”. Jakiś inny nagle podział. Ja zbaraniałem, nie wiedziałem co to znaczy. Teraz już doskonale rozumiem, ale wtedy... I również jak przyjechałem do Polski, no to poszedłem do Olka Halla, który był wtedy ministrem w rządzie Mazowieckiego, z którym się przyjaźniłem wtedy. No i był Waldek Kuczyński, który też tam pełnił funkcję ważną, bo jak sam pisze „zausznika”. Przyleciał do mnie, no i zaczęliśmy tam rozmawiać. I nagle oni się bardzo wtedy poruszyli tym, że właśnie w Krakowie były manifestacje i że podpalili pomnik Lenina. Ja się bardzo cieszyłem, a oni: „to w ogóle skandal. To w ogóle podważa wszystko. Trzeba na nich ZOMO nasłać, trzeba by na nich ZOMO nasłać”. Ja myślałem, że dom wariatów. Co oni wygadują? Ale z drugiej strony ja byłem jednak sparaliżowany, bo oni tam byli w kraju. Waldek nie, ale przyjechał, tyle samo we Francji, tylko przyjechał trochę wcześniej niż ja, zaproszony do rządu przez Mazowieckiego. Ale Olek cały czas pędził w tym, ponosił konsekwencje, cierpiał, walczył, więc tutaj, że ja przyjechałem z zagranicy i się będę mądrzył, sobie siedziałem w Paryżu, więc to mnie paraliżowało wtedy. No ale czułem, że coś tu, miałem wrażenie, nie gra. Ale z drugiej strony oni mnie tłumaczyli, bo tu się rozkołyszą nastroje, że ten kruchy, życie wewnętrzne, wewnętrzna rewolta, że będzie jakiś chaos, że teraz trzeba uspokajać nastroje, żeby budować reformy, żeby móc przeprowadzić reformę ekonomiczną, bo jak będzie poruszenie nastrojów, no to wtedy się nic nie da zrobić, to wtedy będą różni demagodzy wykorzystywać to, wykorzystywać niezbędne takie rygory reform, żeby uderzyć w rządzących, więc nie da się zrobić... No i jakoś to do mnie przemawiało, to był logiczne, chociaż trochę. Chociaż widziałem masę kontrargumentów, widziałem rozmaite rzeczy, ale to wtedy już takie doświadczenie, już takie, że coś się tu zmienia. Byłem wtedy w Gazecie Wyborczej, ona jeszcze była obok tego miejsca, gdzie jest teraz, chyba Iwickiej była. Teraz jest na Czerskiej, wtedy była na Iwickiej, w takim przedszkolu przerobionym. I już jakoś mnie trochę te postawy tych ludzi niepokoiły, ale to raczej takie wewnętrzne. Ale to było wszystko jeszcze takie wewnętrzne. Wróciłem z Polski i zaczęła się rewolta w Rumunii, taka już poważna. Chciałem tam jechać, Andrzej Mietkowski pojechał, ja się rozłożyłem wtedy i nie mogłem. Żałuje, on był tam, jeździł. Wszystko to, system jak domek z kart się walił, cały blok. No tak, a ja już z wiosną, wczesną wiosną wróciłem do Polski, definitywnie. I zostałem szefem radia. Tak, 1990 roku. Jedno pytanie o właśnie o Radio Kraków, czyli to był dla Pana przykład od wewnątrz w jakim stanie są media w Polsce w 1990 roku? I tak jak Pan też wspomina, że udało się właściwie o 180 stopni odmienić to radio. Dla mnie taką bardzo ciekawą historią był przykład ochrony radia i pewnej kobiety, która trochę pokazuje też, jaki to był klimat ówczesnych mediów, albo chociażby w tej stacji konkretnej. Jak Pan wspomina właśnie tę zmianę, co się udało przeprowadzić w Radiu Kraków? Udało się fundamentalnie zmienić to radio. Ja tam spędziłem trzy i pół roku jako ten dyrektor. To było radio z muzeum. To było charakterystyczne, poza wszystkim innym, te media komunistyczne, one się nie przejmowały, nie miały żadnej konkurencji. Nie były zależne od odbiorcy, w związku z tym one sobie działały, jak chciały. Można było produkować słuchowiska dwugodzinne, półtorej godziny, mogli nie przyjmować się, czy ktoś słucha. Są ludzie, co słuchali, bo nie mieli wyboru, to słuchali. I w ogóle ilość ludzi zatrudnionych. Do radia była dołączona orkiestra. Normalna, symfoniczna orkiestra i oratoryjny chór. Ja zostając dyrektorem Radia Kraków nagle się dowiedziałem, że zostałem dyrektorem Symfonicznej Orkiestry i Chóru Oratoryjnego. Muszę przyznać, że mnie to trochę nawet rozbawiło, ale trochę zaniepokoiło, bo moja wiedza w tej materii, powiedzmy oględnie, jest ograniczona i w związku z tym nie czułem się pewnie. Ale tutaj okazało się, co więcej, wszyscy oczekują, że to radio będzie się utrzymywało. A tu wchodziły normalne już reguły. W Krakowie pierwsze, konkurencji, bo u nas zaczął działać RMF. Najpierw w Krakowie, prężne radio, prywatne, które na zasadzie towarzyskiej dostało koncesję. Wtedy tak wszystko szło, Kozłowski to załatwił i paru innych ludzi, i Gil, i inni z Solidarności, środowiska Tygodnika Powszechnego. Styczyński to wszystko, który jest dobrym

organizatorem, to technicznie zorganizował, ściągając ludzi. A myśmy musieli, myśmy byli w trudniejszej sytuacji, musieliśmy istniejący twór... To wszystko trzeba było. Ta ilość ludzi, która siedziała wtedy w reżyserce, to po prostu ręce opadały, bo był ktoś, realizator dźwięku, który wydawał polecenia komuś, kto ma puszczać jakąś płytę, bo on przecież nie będzie puszczał, kto inny jest do puszczenia płyt. No i takich jakiś nieprawdopodobnych, cudaczkich struktur i to wszystko trzeba było... Ludzie się oburzali, że trzeba to zmienić zasadniczo. Ja powiedziałem, że musimy się odciąć od tego, od orkiestry i chóru, bo przecież to garb większy od wielbłąda. A tu okazało się nagle, że my mamy wspólnie utrzymywać to, jak żeśmy sami się... Radio, jak ja przyszedłem, nadawało, nie pamiętam, swojego programu kilka godzin, ale między 4 i 6, już nie pamiętam. A ja uznałem, że trzeba nadać normalnie 24 godziny i zrobiliśmy ten 24 godzinny program. I w ogóle byliśmy taką radiostacją, która po prostu świetnie funkcjonowała. Mogę się pochwalić, bo ona była, we wszystkich tych rozgłoszeniach było tak, że te główne centralne kanały, takie jak Jedyńka, Trójka są dużo, dużo wyżej, a regionalnie dużo niżej. To u mnie było jedyne, gdzie myśmy przebili je wszystkie. Byliśmy poniżej RMF-u, który był, ale ścigaliśmy się z nim jakoś tam. Więc to była taka robota, którą trzeba było, masę tej roboty wykonać. Powywałem tam, bardzo prędko dowiedziałem się, że ówczesny szef radia, który był z ZSL-u, który potem został przemianowany na PSL, interesował się zastępcą Drawicza, który był prezesem. Cała struktura została zachowana, żeby moi zastępcy byli z ZSL-u, związani z ZSL-em. No, ale ja jednak tak nie zrobiłem i to były pierwsze zgrzyty w koalicji. Zresztą potem były zgrzyty z Andrzejem Drawiczem, moim znajomym dobrym, czyli szefem tego Radiokomiteu, który podobno, ale nie wiem, czy to prawda, ale podobno powiedział, że on zrobił tylko jeden błąd personalny. Tym błędem było mianowanie mnie, ale nie wiem, czy tak powiedział, ale mógł to powiedzieć, biorąc pod uwagę nasze układy. Jedynym czym się zajmował, to obroną status quo. Ja tam wywaliłem tę starą komunię, takich najbardziej tych. Ochrona to jest anegdotyczne, ale ja mówię tych, którzy tam siedzieli i robili tą propagandę, więc ich wywaliłem. No i zrobiła się z tego awantura, że w ogóle dlaczego ja to zrobiłem, jakim prawem ja to zrobiłem, bez uzgodnienia. Swoją drogą ja tam uprawnienia miałem też ograniczone niby, ale się nie przejmowałem tym. W każdym razie jak przyszedłem do tego radia, to powiedziałem sobie, wiedziałem mniej więcej, tak naprawdę to nie wiedziałem, że wygląda to tak, jak powinno wyglądać. Znałem media zachodnie i powiedziałem sobie: podstawowa rzecz nie dziwić się. Tylko wszedłem, to jednak uległem zadziwieniu, bo wchodzę, a tu stoi w dwu szeregu, w mundurach, stoją tam z bronią, czyli z pistoletami przy pasie strażnicy w liczbie, już nie pamiętam, 8, 10 i ich szef podchodzi do mnie, salutuje i mówi: „bardzo przepraszam, panie dyrektorze, w takich warunkach, ale to jest ważna sprawa”. I wręcza mi podanie. Ja zaglądam, a tam jest prośba, żebym wystąpił o broń długą dla nich. Myślę, że oni nie zwariowali i przychodzę, myślę, że trzeba rozwiązać to, pogonić. Wzywam prawniczkę, która się tym zajmuje. To jeszcze była taka historia, gospodarka autarkiczna: był własny, mały ośrodek zdrowia, tam wszystko było, własny cieśla, stolarz. Tak to funkcjonowało. Jakiś absurd. No i prawniczka przychodzi i prawniczka akurat potrzebna jest. Ja mówię: „Wie Pani, ja tutaj mam staż i chciałbym się dowiedzieć, na jakich warunkach mógłbym tą straż rozwiązać i powołać jakichś normalnych ochroniarzy”. A ona mówi: „jak to rozwiązać straż? Ktoś przecież musi bronić tego radia. To strategiczna instytucja”. Tak patrzę na nią, myślę sobie, że ona żarty sobie stroi. Mówię: „proszę Pani, ale nie wiem, czy Pani zauważyła, owszem, to była strategiczna instytucja. Komunizm się tu dzielnie bronił, ale poległ. Ta instytucja została już zdobyta”. A ona, absolutnie serio, nie było w tym cienia ironii, mówi: „oczywiście ja to wiem, ale kapitalizm też musi się bronić przecież”. Powiedziałem sobie: „o, no to ją dopisuje na tej liście do zwolnienia. No to było po prostu... No ale zrobiliśmy. Przygotowaliśmy pieniądze na nową rozgłoszenie. W ogóle różne rzeczy żeśmy tam zrobili. Za co zostaliśmy... Przygotowaliśmy jako jedną z pierwszych rozgłoszeń, nie wiem, czy nie pierwszą, do przej-

ścia na tryb osobny, za co zostałem zwolniony z tego stanowiska w sposób bardzo szczególny, bo wysyłaliśmy faks. Wtedy się jeszcze faksy wysyłało, że gotowa jest do tego, żeby przejść na samodzielne stanowisko i w odpowiedzi dostałem listę Zarządu, na której mnie nie było, z czego mogłem wnosić, że jestem usunięty. No tak, ale to oczywiście zrobiło mi tylko dobrze, za długo tam siedziałem, ze trzy i pół roku. To było za długo. Trzeba było wcześniej, powinni mnie wyrzucić wcześniej. Po takiej 9, 10 letniej emigracji gdzie pan przyjeżdża, to coś już Pan powiedział, jak obserwował tam Pan wówczas już nie opozycję, ale kolegów u władzy, rząd Mazowieckiego. Jaki był? Pierwotnie było tak, że otoczenie rządu Mazowieckiego, w szerokim tego słowa znaczeniu, to byli moi dobrze koledzy. Niektórzy z nich byli wprost w rządzie, Mazowieckiego prawie nie znałem, ale też spotkałem go parę razy w życiu i wymieniliśmy parę zdań. Ale wielu jego ministrów znałem dobrze i w ogóle z niektórymi się przyjaźniłem, całe to środowisko, całe szefostwo Gazety Wyborczej. Adam Michnik, ale i Helena Łuczywo i inni – to wszystko byli moi dobrzy bardzo znajomi. Więc na początku to byłem, trafiłem w to środowisko i jak gdyby przejąłem ich trochę myślenie pierwotne, że najważniejsze to są reformy ekonomiczne, gospodarcze, że nie trzeba rozkołofusować nastrojów, czyli robić prawdziwej demokracji, że ma się to wszystko trzymać bardziej. I ma być stabilne, że to ma być taki czas przejściowy na czas tych reform, ale empiria zgrzytała. Doświadczenie moje zgrzytało bez przerwy, począwszy od tego, co obserwowałem. Obserwowałem jednak ten jakiś sojusz dziwny z komuchami w Radiokomitecie. Drawicz, który w ogóle jak się okazało, że w ogóle Radiokomitet był zły tylko dlatego, że rządili w nim nie właściwi ludzie. Przypominam Radiokomitet to był monopolistyczny twór, który rządził całą telewizją i wszystkimi radiostacjami w Polsce. Jak teraz przyjmują właściwi ludzie, no to o co chodzi? To zostawiamy to. I pierwszy taki polemiczny, to jeszcze w 1990 roku chyba napisałem, w 1990-tym napisałem taki artykuł jeszcze w Tygodniku Powszechnym, jeszcze miałem dobre relacje z Tygodnikiem Powszechnym. Napisałem taki artykuł o tym, że rozwiązać Radiokomitet. I w ogóle oburzenie na to! Pamiętam Dworak, który był szefem wtedy, już nie pamiętam czego, to było w telewizji, napisał taką polemikę ze mną i potem dyskutowaliśmy w radiostacji, że to pochopne, przedwczesne, niepotrzebne wezwanie. Ale tak, gdzie spojrzałem, to ta rzeczywistość tak skrzeczała. Jakoś niespecjalnie to... Ale ciągle uznawałem: „No dobrze, może ja nie dostrzegam, tutaj są rozmaite niedogodności”. Pamiętam, że jak zaczęła się sprawa lustracji, Krzysztof Kozłowski, z którym też miałem dobre relacje, przyszedł do mnie do radia, ja go zaprosiłem i mówię: „słuchaj, niech Pan słucha, Ja bym chciał żebyśmy spróbowali, myślę, żeby ugryźć problem lustracji, trzeba tak, wy mówicie „trzeba tak ostrożnie”, a ja mówię, że po prostu trzeba wpuścić tam odpowiedzialnych dziennikarzy, którzy będą, którzy spróbują pewne sprawy, choćby pokazać, jaki początek był prawda, naświetlić, zobaczyć jak to wszystko wyglądało. Coś tam zacząłem tłumaczyć mu coś na ten temat, a on jak się obruszył, mówi: „to trzeba spalić, zabetonować”. I opowiedział mi historię, która zrobiła na mnie wrażenie, że była jakaś tam dziewczyna, którą zmusili do podpisania listy współpracy, nigdy nic nie robiła, w jakimś prowincjonalnym mieście, ale kiedy dowiedziała się, że teraz mają te archiwa być otwarte, popełniła samobójstwo. To zrobiło na mnie duże wrażenie, takie coś, myślę sobie: „no rzeczywiście takie coś...” I zacząłem szukać tej dziewczyny, dowiadywać się gdzie, co. Nie znalazłem jej do teraz. No bo oczywiście nie było takiej dziewczynie, nie było takich wypadków, nie było nic takiego. A ja nawet nie wiem, czy Kozłowski kłamał. Przypuszczam, że jemu Ci ubecy to powiedzieli, a on jak głupi to powtarzał. Raczej to widzę w ten sposób. Bo oni nim grali jak pacynką. Nie tylko nim, całym otoczeniem. Ja już w 1992 roku chyba napisałem taki duży tekst. Jeszcze niby byłem w tym środowisku. O potrzebie dekomunizacji. On miał dwie części. Część pierwszą chciałem opublikować w, tak, to był 1992 rok, w Tygodniku Powszechnym. I oni się wozili bardzo długo z tym. Ja mówię: „jeżeli wam nie odpowiada, to piszcie polemikę potem z tym albo równocześnie jak wam... Ale w efekcie nie puścili

i w efekcie ja to dałem, jeszcze był Maciek Szumowski ważną postacią w Gazecie Krakowskiej, z taką perspektywą, bo kiedyś robił tę Gazetę Krakowską, taki charyzmatyczny redaktor naczelny. To była taka niezwykła gazeta z tych oficjalnych gazet najbardziej wywrotowa, najlepsza właśnie w czasie Solidarności oficjalnej, 80-81. I on wymusił na ówczesnej redakcji, że oni wydrukowali tę część pierwszą, która trochę była absurdalna, bo to było ileś tych płacht, ileś tych kolumn całej gazety zadrukowane. Ale zaraz napisał z tym polemikę Lesław Maleszka, który był wice naczelnym. A ja odpowiedziałem na jego polemikę, ale on odpowiedział na moją i na tym się skończyło, bo już nie mogłem więcej. Drugą część potem opublikowałem w gazecie, w Res Publice. Mówię to po to, żeby powiedzieć, że jednak już wtedy nie za bardzo się z tym wszystkim zgadzałem. To też charakterystyczne, że kiedy zacząłem szukać roboty, to nie poszedłem do Gazety Wyborczej, gdzie mogłem pójść, tylko poszedłem do Życia Warszawy, które było inne, bo z końcem 1993 roku dogadałem się z Wołkiem, który był wtedy naczelnym Życia Warszawy, że zostanę sekretarzem redakcji. To właściwie jeszcze bym zapytał o ten obraz mediów, który Pan obserwuje od 1990 roku, gdzie też można wyczytać, że np. niemal zawsze jest Pan wyrzucany, na swoich warunkach, to jest z drugiej strony, druga strona medalu. I perspektywa, o której Pan mówił – radia, później odchodzi Pan do prasy. Jak te media od lat 90-tych właściwie do dzisiaj ocenia z perspektywy trzydziestu lat? Trzydziestu kilku. Tu się nakłada parę zjawisk. Z jednej strony tradycyjne media umierają w skali światowej. To trzeba zdać sobie z tego sprawę. Nie ma już tradycyjnych mediów. Już ich nie ma. Nie umierają, one umarły. Po pierwsze tracą swoją rolę. Dzienniki, co są nieporównywalne z tym, czym kiedyś były, ale również i radiostacje, i telewizję. Wszystko to, prawda, traci na rzecz tych społecznościowych mediów. Ludzie sobie sami robią, tę telewizję oglądają emeryci głównie. Tego typu rzeczy, to jest oczywiste. Ale to się wiąże również z tym, że one mają dużo mniej środków i w związku z tym już też nie mogą dorównywać, nie mogłyby, gdyby nawet chciały dorównać jakości tym mediom klasycznym, tradycyjnym. Po drugie, co jest ważniejsze nawet, nastąpiła gruntowna ideologizacja mediów, na całym świecie. One pełnią w tej chwili frontową taką rolę. I to głównie te media są przejęte przez tą dominującą ideologię emancypacji i reprezentujące ją siły polityczne w Europie, na całym Zachodzie, rozumianym oczywiście cywilizacyjnie, a nie geograficznie, bo w Australii czy Nowej Zelandii, czy również w Japonii. Więc kształt frontowy. To bardzo charakterystyczne w Ameryce, gdzie czasami ta oczywistość dla nich pewnych rzeczy jest cudowna. Kiedy pamiętam, to to było jeszcze dwadzieścia parę lat temu, jak wygrał George Bush Junior wybory, to taka bardzo znana dziennikarka z New York Timesa powiedziała, że ona nie rozumie, jak to jest możliwe, bo ona nie zna nikogo, kto by na niego głosował. W jakiej bańce ona żyje? To bardzo charakterystyczne. Większość obywateli głosuje, a ona nie zna takich ludzi. Jak tacy ludzie mogą robić informacje, robiąc media? Naprawdę bezstronne media. Bo media jednak powinny być pośrednikiem bezstronnym. Można oczywiście wyrażać tam opinie, od tego są odpowiednie sektory. Więc to jest zjawisko dużo, dużo szersze. W wypadku Trumpa to mieliśmy, media oficjalnie powiedzieli: naszą rolą jest zwalczanie Trumpa. Jaka to jest rola mediów? To są organy frontowe. Oczywiście są zawsze jakieś, tu się pojawia jak FOX założony w Ameryce, ale w Europie to już w ogóle prawie nie można znaleźć czegoś takiego, takich mediów. Gdzieś tam ktoś próbuje, ale właściwie nie ma takich mediów. Więc ci dziennikarze, tak zwani dziennikarze, to są frontowcy. To są po prostu propagandyści określonych idei. Jedni bardziej, którzy starają się zachować jakieś elementy przyzwoitości. Inni w ogóle się tym nie przejmują, oni wiedzą, że mają dowalić swoim przeciwnikom, a eksponować swoich sojuszników, swoich nie sojuszników, swoich patronów tak naprawdę. Bo to tak wygląda. A teraz w Polsce. A w Polsce? Polska chyba wyprzedza ten czas, bo na dobrą sprawę to rozdanie, to był cały... W ogromnym skrócie, uproszczeniu można powiedzieć, że Okrągły Stół to była klasyczna operacja komunistów, którzy w sytuacji trudnej kooptują niektórych

swoich przeciwników, żeby podzielić się swoją odpowiedzialnością, ograniczyć pola konfliktów i odzyskać władzę. Tak było tam, różne fronty narodowe tworzyli w Polsce. Niby na początku też tak było, ale to bardziej ewidentne w Czechosłowacji. Można to wszystko prześledzić, po wojnie bezpośrednio. To się nie udało oczywiście do końca, ponieważ ten komunizm nie wrócił. To zupełnie coś innego było, okazało się w 1989 roku, ale idea była jednak kooptacji. I w jakimś sensie tą ideę przejęli, przejęła ta część establishmentu opozycyjnego, część liderów Solidarności, zwłaszcza tych wywodzących się z dawnego KOR-u, którzy uznali, Adam Michnik jest takim przykładem najbardziej emblematycznym, uznał, że sojusz z tymi oświeconym komunistami da im władzę na dekady. Czy na zawsze, mniejsza o to, dekady w polityce to jest na zawsze. Oczywiście jak zawsze, nie mówię o złej woli. Dobra wola polegała na tym, że Michnik czy Ci ludzie, oni myśleli, że właśnie w tym kraju należy dokonać transformacji. Ten kraj należy zmodernizować i europeizować, ale w tym celu należy Polaków upodobnić do Zachodniej Europy, a więc przeformatować zasadniczo. Zresztą jak ja świadomie użyłem tych pojęć – transformować, modernizować, europeizować – bo ten język nastąpił skokowo. W 1989 nastąpiła zmiana języka. Wcześniej mówiliśmy o podmiotowości, demokracji, samostanowieniu, patriotyzmie, narodzie, republice, wolności i takich rzeczach. Potem zaczęły mówić o transformacji, europeizacji, modernizacji. W imię tej modernizacji miała zostać dokonana zasadnicza zmiana w Polsce i to ponad głowami Polaków. To zresztą bardzo charakterystyczne, zmienił się język, sposób mówienia. Wtedy właśnie to, co ja mówiłem: „nic im nie mówić”. Że Polacy są niebezpieczni z natury, rozkołysanie nastrojów jest niebezpieczne. Czas rewolucyjny, a to oczywiście był taki czas, jest niebezpieczny. To może być taka spirala radykalizmu, a więc trzeba ich trzymać, pilnować, kontrolować, żeby złe idee do nich nie dotarły. Kontrolować to, co im się przekazuje. Po prostu kontrolować, panować nad nimi, do czego najlepiej służyły media. Gazeta Wyborcza jest tego doskonałym przykładem. Ona, teraz nie zdajemy sobie sprawy, ale w latach 90-tych budowała oficjalny przekaz, który potem powieliły media elektroniczne. To one pytały i czytały, co tam ma być. Telewizja, w której czasami wpuszczano też na zasadzie kooptacji. Walendziak usiłował to zmienić, bo został przypadkowo prezesem, to była straszna awantura, że Walendziak, jacyś „pampersi”, ale przecież on też nie mógł wpuścić, on był tylko członkiem Zarządu, chociaż miał większe możliwości. Ale on też wprowadził różnych ludzi, ale też ta telewizja została tylko częściowo przeformatowana, a zaraz po usunięciu wyeliminowano całą ekipę. Ona została, ta telewizja to ciągle jest... Do niedawna. Mniej więcej utrzymuje pewną ciągłość instytucjonalną, a więc media... Ja pamiętam taką historię, która jest niesamowitym znakiem. Otóż dostał propozycję Dariusz Fikus zostania naczelnym Rzeczypospolitej, w 1990 roku i został. I wygłosił takie exposé. W tym exposé powiedział, że on się bardzo cieszy. odpowiedzialna funkcja, bo wprawdzie. Sprawami politycznymi w Polsce zajmuje się Wyborcza, ale w związku z tym jemu zostają sprawy ekonomiczne i prawne. To jest nieprawdopodobne. Przecież niby świat wolny polega na konkurencji, a tu słyszymy o monopolach! Nie sformułowany w ten sposób, ale de facto się to mówi. To jest monopol na idee polityczne. Do głowy nam nie przyjdzie zakwestionować to. Wszystkie media, które się wyłamywały z tego zwartego frontu... Myśmy widzieli w Krakowie taki medium, Czas Krakowski, który bardzo dobrze funkcjonował. Jan Polkowski, mój przyjaciel z SKS wielki poeta, mówię to bez żadnych dwuznaczności, moim zdaniem najlepszy żyjący polski poeta w każdym razie, dobry organizator, stworzył to pismo i ono dobrze funkcjonowało. Ono dobrze funkcjonowało i miało jakiś czas najwyższe czytelnictwo i zostało zniszczone przez zмовę reklamodawców, którzy odmówili dawania reklam. Jakaś nieprawdopodobna historia. Przecież ono powinno dostać najwięcej reklam, bo ma największy, miało czytelnictwo. Nie! Reklamodawcy się porozumieci, to świadczy o całym, zwartym układzie, że „temu” nie będą dawali. Tak samo wyrzucono, łłowiecki właśnie był redaktorem naczelnym Spotkań i go wyrzucono jako naczelnego. Zawalił się, zawaliło się to medium.

To samo z Życiem Warszawy, w którym byłem sekretarzem redakcji. Które to Życie Warszawy było gazetą opozycyjną w jakimś sensie przeciwko temu głównemu nurtowi się przeciwstawiającą. No i wtedy Włoch, który nie dostał tej licencji na telewizję, który głównie był tym zainteresowany, sprzedał swoje udziały polskiemu biznesmenowi, Jakubasowi. To co on zrobił pierwsze? On wynajął nowego naczelnego. Skąd? Z Polityki. Ja byłem trochę taki porte-parole, byłem szefem związku Solidarności tam po to, żeby móc strajk organizować, potem żeśmy stworzyli Życie. W dużej mierze mogę powiedzieć, Wołek był naczelnym, ja byłem zastępcą naczelnego, ale w dużej mierze to była moja inicjatywa. I ten Jakubas na naszym spotkaniu pierwszym powiedział: „situacja polityczna się zmieniła, już nie możecie być tacy, byliście może obiektywni, ale była inna sytuacja. Teraz obiektywizm znaczy coś innego”. Więc pojawiają się takie szczeliny walczące. No właśnie jest Życie, więc ono tam funkcjonuje. Ale po pierwsze Wołek okazał się zupełnie osobą, która się nie nadawała do tego, też chciał robić politykę. No i ono było słabe ekonomicznie i to też w pewnym momencie się załamało. Rzeczpospolita był czas, gdzie była trochę inna, ale jeśli tylko jakieś medium pojawia się, silniejsze, które nie płynie w głównym nurcie ideologiczno-politycznym, to następuje mobilizacja innych mediów i nie tylko mediów, żeby je zniszczyć. Podobno odwołanie Łowieckiego to jest interwencja Michnika, jego przyjaciół we Francji u właścicieli, bo to pierwotnie był kapitał Figaro i jakiś tam dodatkowe, prawda. Ale doskonale wiemy, że po wyrzuceniu „pampersów”, czyli ekipy Walendziaka z telewizji, oni potem zostali, dostali pracę w jednej z pierwszych telewizji kablowych w Polsce: RTL-u i oni zaczęli robić bardzo ciekawą telewizję, która zaczęła iść do góry. I zaczęła iść do góry do momentu, ten jeden z głównych szefów, on się nazywa Jan, wyleciało mi z głowy, mówił to wprost, że pojechał do właścicieli RTL-u Michnik, oczywiście ze swoimi przyjaciółmi z Zachodu powiedzieć, że oni tutaj finansują faszystów, żeby zrobić porządek. No to oni zrobili porządek, odwołali szefów i urwali głowę. Więc tak to, tak to wygląda. I to była charakterystyczna wojna z Rzeczpospolitą, bo większość tam mieli Anglicy wtedy Mecom, ale 49% miało państwo i cały czas ono blokowało. Ono blokowało możliwości rozwoju i działania, bo te 49% to nie jest wystarczająco, żeby móc narzucać politykę redakcyjną, ale żeby blokować już działania biznesowe, to wystarczy. I wreszcie Anglicy, zmęczeni tym wszystkim i naciskami, machnęli ręką i sprzedali to. Komu sprzedali? Biznesmenowi Hajdarowiczowi, który miał świetne układy z PO, chociaż nie miał pieniędzy. Ale co z tego? Dostał kredyty. Zresztą to było przed wyborami. Po wyborach nie miał tych kredytów, dopiero po wyborach dostał kredyty właściwe, okazało się, że kto wygrał wybory. Wtedy chodziło o wybory parlamentarne, czy chodziło o prezydenckie? Albo prezydenckie w 2010 roku, albo parlamentarne... Nie, parlamentarne w 2012 roku [2011 r.]. Wtedy chodziło o to i zmienił redakcję i zmienił kierunek, sposób działania. Już się nie będzie wyróżniał. Więc media w Polsce też stanowią po prostu instrument działania establishmentu. Jeśli ktoś się wyłamuje, to musi się liczyć, że będzie przeciwko niemu. bardzo zwarta ofensywa. Medium które tak trochę... Tylko że Polsat to są... Zostało stworzone przez bardzo, okazało się, zręcznego biznesmena. Wprawdzie on miał tam różne szare plamy w swojej genezie, ale potem okazało się, że to jest naprawdę dużej klasy biznesmen, który ma instynkt przedsiębiorcy, energię i zdolność budowania biznesu. I stąd zbudował te swoje imperium, jak na polskie warunki. Jeden z najbogatszych ludzi. Ale telewizję to tak ostrożnie. To znaczy ona nigdy nie była taka jednoznaczna. Zawsze tam pojawiali się jacyś dziennikarze, którzy nie do końca byli tacy jak... Ale ona też się nigdy nie przeciwstawiała temu dominującemu... To by przeszkadzało w biznesach właścicielowi, ale nie tylko dlatego. To jest również to, że przecież Ci dziennikarze są hodowani, formatowani, mają swoje szkoły dziennikarskie, za pewne rzeczy są premiowani, a za pewne są eliminowani. Wszyscy doskonale to wiedzą. Znamy te ileś tych, mogę opisywać imiennie tych ludzi, którzy byli oszołomami, a w tej chwili są szacownymi dziennikarzami, ale już oczywiście co innego piszą, mówią czy przedstawiają. No więc

tak to wygląda. Republika. Są takie media, które są... Ale to jednak jest margines, bo jest koncernik braci Karnowskich: to jest zarówno tygodnik Sieci, jak i portal wPolityce, jak i telewizja wPolsce. Ale to jest mały zasięg. Jest Republika. Zaczynała zdobywać dobre... Natomiast uważam, że... Ja się z tego wycofałem. Uważam, że następni jego szefowie, zwłaszcza oczywiście pod patronatem Tomasza Sakiewicza, nie poprowadzili tego we właściwym kierunku. Ugryzę się w język, Nic więcej nie będę mówił. To imperium małe Sakiewicza to też ma właśnie taki charakter, że ono sobie gdzieś tam wegetuje trochę, funkcjonuje jakoś, ale to kuda mu do tych dużych mediów, które kształtują opinię i mentalność ludzką. Więc tak to wygląda. Jednocześnie to jest niesłuchanie brutalnie robione. To jest niesłuchanie brutalne, to załatwianie przeciwników ze strony tego jest niesłuchanie brutalne. Tu oczywiście takim wzorcem z Sèvres jest właśnie Adam Michnik i Gazeta Wyborcza. Ale oczywiście nie tylko oni. To sposób niszczenia przeciwników, od niszczenia ich reputacji, oskarżania ich o wszystko co najgorsze, bez uzasadnienia ze strony ludzi, którzy sami mają na koncie rzeczy, które powinny ich w ogóle eliminować z dziennikarstwa. Ja ostatnio widziałem taką sytuację, że niejaki Janusz Schwertner, który został szefem portaliku jakiegoś, nie wiem jakiego portalu, został szefem tego portaliku. Zagrzmiał, że jak podle zachowuje się Rafał Ziemkiewicz, bo nie docenia w ogóle bólu posłanki Filiks, której syn popełnił samobójstwo, a on jej coś tam wymyśla, coś takiego robi. Ziemkiewicz w rzeczywistości właśnie dokładnie wskazał to, jak się wykorzystuje śmierć w celu politycznym. Śmierć, która nie miała w ogóle charakteru politycznego i wszystko na to wskazuje. A jeżeli miała w jakimś stopniu podłoże polityczne, to raczej z innej strony. Tu PiS nie ma w ogóle za co odpowiadać ani... To bzdury. Ale po co ja to teraz mówię? Ten Janusz Schwertner to jest facet, który pracował w Onecie. On w Onecie, gdzieś tam w 2017 r. moim zdaniem, mogę się mylić, napisał taki wielki tekst, wielki, monstrualnie długi tekst przeciwko takiej inicjatywie księdza Jacka Stryczka „Wiosna”, miał taką fundację „Wiosna” i taką świetnie rozwijającą się inicjatywę charytatywną Szlachetna Paczka. Rzeczywiście świetnie, ludzie chodzili, nawet prezydent się zaangażował. To było oskarżenie księdza Stryczka, że jest po prostu: straszne warunki, mobbing, paskudne rzeczy robił. On napisał, tak jak ktoś dokładnie by to przeczytał, kto by się zorientował. Ja to dokładnie czytałem, zapamiętałem to niedawno. To jest 20 świadectw, tylko 4 są podpisane, bez żadnych konkretnych. Gdzie się pisze „atmosfera przemocy”. Nie wiadomo o co chodzi. Nic nie jest tam, nic. Ale zostało potraktowane to jako ucieleśniona prawda, ale nie to, co tam jest napisane, tylko ta interpretacja, że tu „straszne warunki”. Zniszczono tego księdza, który się załamał, wycofał się z inicjatywy, zrezygnował z tego. Ta inicjatywa umarła błyskawicznie. Bardzo charakterystyczne – kiedy okazało się, że ten ksiądz Stryczek się podał do dymisji, bo również śledztwo wszczęła prokuratura, która po iluś latach wycofała się, w ogóle nie było żadnej sprawy, bo okazało się, że nie ma żadnych dowodów. W ogóle ten Schwertner jakoś nie napisał, że ci, którzy oskarżają imiennie Stryczka, sami byli o mobbing wcześniej oskarżani i że najprawdopodobniej wszystko wskazywało na to, że Stryczek chciał się ich pozbyć i oni odwrócili to. Ale nie o to chodziło. Kiedy podał się do dymisji Stryczek, to Schwertner ogłosił na swoim Twitterze „Tango Down”. To jest w slangu NATO, tak się mówi, kiedy cel jest trafiony. On miał cel: załatwić księdza i świetnie rozwijającą się inicjatywę charytatywną, żeby zrobić miejsce Owsiakowi albo komuś innemu w ogóle, albo walnąć w księży, walnąć w Kościół. I ten typ, okazało się, że wszystko, co on napisał, było nieprawdą. To zostało udowodnione i później przez Dziennik Polski, który o tym pisał w Krakowie. Teraz oczywiście by nie napisał, bo się zmienił, ale w krótki czas, gdzie były inne władze. Ja o tym zrobiłem kilka programów w telewizji. Wszystko co napisał było nieprawdą, w sensie takim ta opowieść o tym mobbingu. Skrzywdzono faceta, zniszczono świetną inicjatywę i teraz ten facet w nagrodę dostał ten jakiś portal, którym sobie kieruje i występuje jako moralista i rozlicza Rafała Ziemkiewicza, że tutaj podle działania. Dałem przykład, ale to jest, to jest znak naszego czasu i miejsca. Czy jest

możliwość, jak spojrzemy na Pana, jako tego opozycjonistę z lat 80-tych, 70-tych, a nawet jeszcze za młodego chłopaka, to czy przez taką soczewkę można spojrzeć na te współczesne czasy? I czy coś jest takiego w tych współczesnych czasach, tych wydarzeń, o których tutaj wspominałem, co się mocno łączy z tym Bronisławem Wildsteinem opozycjonistą? Jak najbardziej. Ja uważam, że jestem konsekwentny. Oczywiście zmieniam poglądy polityczne, bo pewnych rzeczy zupełnie nie rozumiałem. Pewne rzeczy były instynktowne dla mnie. Ja instynktownie walczyłem, ten system wiedziałem, że jest odczłowieczający, mówię o komunizmie. Wiedziałem, że został oparty na kłamstwie, że odbiera indywidualność, wolność Polakom, niepodległość, samostanowienie. Niszczy ludzką inicjatywę i charakter. To wszystko, ja to wiedziałem, ale nie umiałem tego przekuć, nie znałem się na polityce, nie umiałem tego przekuć na politykę. Odwoływałem się do jakichś absurdalnych idei. I dość prędko to zarzuciłem, bo praktyka opozycyjna uczyła, mówiła: „dobra, walczymy o bardzo konkretne rzeczy”. Jak mówiłem, walczymy z tym systemem po to, żeby ludzie mieli prawo budować swój świat tak, jak chcą. I to mniej więcej, ja myślę, że to jest ciągle to samo, bo mamy ciągle do czynienia... W tej chwili żyjemy wbrew temu, co zostało ogłoszone pod koniec lat 1950, 1960 końcu wieku, żyjemy w wieku ideologii i to intensywnej ideologii. Wtedy to był taki sławny tekst, książka Daniela Bella „Koniec wieku ideologii”. Potem ten tytuł przypisano Aronowi [Raymond Aron] w polskim tłumaczeniu. Oryginalny tytuł był „Opium intelektualistów”. Skończyła się, wytraciła swoją siłę, marksizm, nie ma już ideologii. To jest nieprawda. Nastąpiła... Marksizm ewoluował. Ja uważam, że transformował, że wbrew pozorom wydawało się, że takim czołowym, fundamentalnym ideom marksizmu była walka klas, rewolucja proletariacka, upaństwowienie środków produkcji etc. Nie, to nie były. Centralną ideą Marksa było upodmiotowienie, emancypacja człowieka, emancypacja go z tradycyjnej kultury, z tradycyjnych form istnienia. To jest bardzo charakterystyczne, jak się przyjrzeć dokładnie, bo jednak później zająłem się i tego Marksa przeczytałem, w miarę dokładnie i sądzę, że go trochę rozumiem. Taki spory tekst napisałem na ten temat, który się ukazał w takim moim tomie „O kulturze i rewolucji”: odpowiedzialność Marksa, że marksizmowi nie można było inaczej zrealizować niż przy pomocy totalitarnego systemu i że ten marksizm na dobrą sprawę jest fundamentem tej ideologii emancypacji, która dominuje. Na czym polega ta ideologia emancypacji? No na tym, że ona się zintegrowała, marksyzmem zintegrował się z liberalizmem. Ludziom się wydaje to jakąś aberracją dziwną, no bo wcześniej wydawało się, że główna konkurencja to jest między marksizmem, komunizmem a liberalizmem. Jeślibyśmy sprowadzili komunizm właśnie do walki klas, do rewolucji proletariackiej, upaństwowienia środków produkcji, to by rzeczywiście tak było. Ale jeżeli zobaczymy głębiej te zjawiska i zobaczymy jako środek do emancypacji, to okaże się, że one jednakowo wychodzą z tego samego punktu wyjścia i prowadzą w tym samym kierunku. To znaczy, że to jest wadliwa antropologia, to jest wizja człowieka samostwarzającego się, człowieka Boga, człowieka, który może w całości zbudować dla siebie od nowa świat, uwolnić się od tradycyjnych form, które jakoby stają na granicy jego wolności, uwolnić się od tradycyjnej, a więc jedynej, którą znamy, kultury. Cancel culture współcześnie to wyglądający. Mamy tego człowieka, zdaniem myśli tej i tej ideologii, która jest właśnie fuzją liberalizmu i moim zdaniem konsekwentną, pisałem o tym w „Buncie i afirmacji” bardzo dokładnie, konsekwentną linią liberalizmu i który nastąpił integracji jego z komunizmem, punktem wyjścia jest samotna jednostka. Człowiek, który ludzkość składa się z jednostek, które potem tworzą struktury. To jest nieporozumienie. Człowiek staje się człowiekiem poprzez wspólnoty, w których istnieje, przez wspólnoty kulturowe. Jeżeli my to zapoznamy, jeżeli odwrócimy, zaczynamy traktować te wspólnoty kulturowe jako zespół ograniczony... One są zespołem ograniczenia, ale trzeba sobie zdać sprawę, że są nieuniknionym, jak wszystkie formy. To, co ja mówię, to jest na dużym stopniu ogólności, ale to trzeba zrozumieć, żeby zdać sobie sprawę z konsekwencji. A więc mamy do czynienia z ideologią emancypacji, której celem

jest rozbicie starych struktur, rozbicie starych, uwolnienie człowieka od wspólnot, które go podobno krępują. Emancypować go, od narodowej począwszy, od religijnej, cywilizacyjnej, narodowej, na rodzinnej skończywszy. Ba, na naturalnej, płciowej nawet. Mamy się uwalniać, wszystko ma być domeną naszego wyboru i naszej aktywności. To jest oczywiście absolutną utopią. Ale co jednocześnie jako proces de facto rewolucyjny daje władzę w rękach tych, którzy przeprowadzają ten cały proces. Więc co mamy? Mamy nadal ideologie, tę ideologie emancypacji. Ideologia to jest zespół poglądów, które usiłują całościowo wyjaśnić, ująć całość sytuacji człowieka, jego przeszłość, teraźniejszość, przyszłość i zaprojektować jego stan optymalny, jeśli nie idealny. To jest taki projekt utopijny. W Utopie wpisany jest totalitaryzm, bo nasz świat odbiega od doskonałości i musi odbiegać od doskonałości, bo człowiek jest ograniczony, ułomny z różnych względów. Jego status jest taki, jak jest i jego kondycja jest, jest jego natura, jest taka. Tutaj mamy odrzucenie właśnie natury człowieka. Wyobrażenie, że człowieka niby w imię tego przyszłego, ma się na nowo stworzyć. Ci, którzy są już wyemancypowani, powinni uzyskać pełnię władzy. I oni w tej chwili ją sobie przyznają. Głównie poprzez system prawny, niesłychanie drobiazgowy, w którym się zapisuje kolejne ideologiczne rozwiązania. W tej chwili tzw. walka z mową nienawiści, to wszystko to jest branie pod kontrolę języka, to jest formą cenzury, to są formy cenzury. Demokracja liberalna ma coraz mniej wspólnego, to jest tylko demokracja proceduralna, zostały procedury demokracji, ale to bardzo charakterystyczne, że ci, którzy występują na rzecz demokracji, demokracja liberalna odwołuje się właśnie do ideologii emancypacji. Ci, którzy odwołują się do demokracji liberalnej, mówią, że „ale bez populizmu”. Czyli bez tych ruchów, które przeciwstawiają się temu, czyli bez opozycji. Nastąpiła, ten układ lewicowo – liberalny, ta ideologia skolonizowała całość tradycyjnej sceny politycznej. Różnica między lewicą a prawicą tradycyjną w Europie jest prawie żadna. Jest postaciami. A ci, którzy pojawiają się jako kontestatorzy, no to są odrzucani. To są ci, to jest ten populizm, czyli to są ci, którzy mówią nam o demokracji, w efekcie chcąc ją zasadniczo ograniczyć. Zasadniczo przede wszystkim przez system prawny, tzn. prawo jest taką skorupą, w której mamy, można się poruszać, ale zmiana systemu prawnego jest już trudna. A prawo ma nam zastąpić politykę. Coraz bardziej drobiazgowo te regulacje prawne mają... A więc, trochę się rozgadałam. Chciałem powiedzieć, że nadal chodzi mi o to samo. Chodzi mi o wolność, Chodzi mi o podmiotowość ludzi, chodzi mi o demokrację. Chodzi mi o to, że mam świadomość roli wspólnoty, że ta wspólnota, że ludzie żyją we wspólnocie, żyją dzięki wspólnocie i nie mogą istnieć inaczej. Zresztą moje doświadczenie życiowe mi to pokazało. Emigracja jest pod tym względem niezwykle pouczająca, bo pokazuje, jak fundamentalną rolę odgrywa wspólnota. Oczywiście możemy się jej wyrzec, odrzucić, ale waga tego wyboru pokazuje znaczenie. Poza tym nie tylko waga, konsekwencje tego, że naprawdę my nigdy do końca nie jesteśmy w stanie przeprowadzić tego. No więc tutaj znowu się rozgadałam po to, żeby powiedzieć, że ja dostrzegam w swojej postawie konsekwencję. Zmieniam, że tak powiem, racjonalizuję inaczej swoje wybory. Rozumiem, że pewne rzeczy nazywałem błędnie, że nie widziałem pewnych konsekwencji instytucjonalnych. Też byłem dzieckiem swojego wieku, też byłem taki indywidualistycznie nastawiony. Potrzebowałem czasu, żeby zrozumieć, jak bardzo to wyobrażenie indywidualizmu obraca się przeciwko sobie. My musimy zrozumieć, jak my jesteśmy uwarunkowani wspólnotowego, kulturowo, żeby odnaleźć swój margines, przestrzeń naszej wolności. Kiedy tego nie rozumiemy, kiedy to odrzucamy, to stajemy się samotni i bezbronni wobec silnych, tych, którzy dyktują nasze posunięcia. Stajemy się takimi bezbronnymi konsumentami rzeczy, produktów, ideologii, wszystkiego. Silniejsi narzucają nam to. Ja uważam, że absolutnie przeciwko temu powinniśmy się opierać. To również chodzi o naszą cywilizację. Nasza cywilizacja jest w sytuacji absolutnie kryzysowej. Ja nie wiem, czy na Zachodzie, Europie czy w ogóle ona przetrwa? Zachodnia cywilizacja. Uważam, że my mamy większe szanse, żeby u nas przetrwała, ale wcale tej pew-

ności nie ma. A jest czego bronić. Chciałbym na chwilę wrócić w ramach uzupełnienia do 1977 roku i śmierci Stanisława Pyjasa i zapytać się, bo tam był Pan też przesłuchiwany bardzo długo, chyba około 12 godzin. I jak Pan wspomina to przesłuchanie i też to, co się wydarzyło za chwilę, czyli juwenalia i czy też była obawa jakiejś prowokacji, że to się jeszcze bardziej rozwinie, jeśli chodzi o to, co zrobiła Służba Bezpieczeństwa? Jakie było przesłuchanie? Przesłuchanie było jednoznaczne. Byłem wiele razy przesłuchiwany, bo ja byłem raz przesłuchany tak bardzo długo, a potem na przykład przesłuchiwał mnie ileś razy prokurator Sołga, albo prokurator Stańczewski. Wielokrotnie byłem przesłuchiwany. Te pierwsze, najdłuższe i potem były krótsze. Otóż te przesłuchania były mniej więcej podobne, że... To było tak: przede wszystkim, jak bardzo był uzależniony od alkoholu Stanisław Pyjas, a od używek, od tego i tamtego... Cały czas była sugestia, że to taki człowiek, do pewnego stopnia zdegenerowany, który już nie panował nad sobą, który uległ wypadkowi, był pijany, to dla niego było normalne. I było pytanie czy widziałem obrażenia, co ja mogę powiedzieć, na jakiej podstawie co mogę o nich mówić? To znaczy to, co ja widziałem, to moje wyobrażenie, a rzeczywistość to są dwie różne zupełnie rzeczy i to generalnie kręciło się wokół tego. Potem jeszcze, dodatkowo to miało taki charakter, że oni usiłovali, Sołga, dopytać mnie tak naprawdę, co ja robię teraz. I to było bardzo charakterystyczne, że w pewnym momencie ja odmówiłem odpowiedzi. Powiedziałem mu, że „ja nie widzę żadnego związku między Pana pytaniami a sprawą Stanisława Pyjasa i w związku z tym odmawiam odpowiedzi”. I on wtedy podszedł do mnie, podsunął taką wielką pieść pod nos i powiedział: „nie podskakuj, my was wszystkich załatwimy, my was wszystkich załatwimy”. To jest ten człowiek, który jest opisywany na przykład przez Łazarewicza jako taki sumienny prokurator, który usiłuje dochodzić prawdy. To jest to. Więc tyle mam do powiedzenia. To nie było żadne przesłuchanie w celu uzyskania jakiejś wiedzy. To była próba zmuszenia nas do przyznania, że to był wypadek, któremu uległ człowiek, alkoholik, który być może jeszcze miał jakieś inne nałogi. Trybuna pisała, że to niby kapitał. Było spotkanie z dziennikarzami Trybuny i oni mieli zasugerować, że to opozycja będzie miała kapitał. To była specjalna... Ja niestety, ja zapisałem nazwiska ich... Roszewski, Janusz, a drugi... Ich było dwóch. Oni przyszli do mnie w nocy. To było niezwykle. Oni przyszli do mnie w nocy po manifestacjach dokładnie, zaczęli się dobijać. Myślałem, że Bezpieka. Otworzyłem, a tu wlało takich dwóch typów, zwłaszcza jeden był takim charakterystycznym. Był tak ubrany, tak modnie, taki modny cygan, w sensie La Bohème, w sensie artystowskim, taki peerelowski, z taką pogardą do mnie, zwłaszcza on. No i zaczęli się dopytywać, ale to dopytywanie się było raczej takim sugerowaniem. Pamiętam zwłaszcza jego, tego, który mówi: „no to co, wyście z tą swoją żałobą weszli, tu ludzie się bawią, a wy chcecie im uniemożliwić tą zabawę? Chcecie narzucić im żałobę”. Na takim wyższym poziomie, prawda? I mówi: „widział Pan Siódmą Pieczęć?”. „Tak, widziałem”. „No widzi Pan, kto wygrywa tam? Kuglarze, wspaniali kuglarze”. To interesujące, bo ten facet przedstawiał modelowo pewne takie konstrukty ideologiczne, które teraz obowiązują. Mniejsza o to. Ten drugi był trochę... ale też tak, na zasadzie... No i to też było tak, oni nic nie chcieli się dowiedzieć, oni chcieli nam udowodnić, zwłaszcza ten Roszewski, tak chodził przede mną... Patrzył na mnie, taki był oburzony, że z kimś takim jak ja musi mówić. I w pewnym momencie mówi: „tak to, naczytało się kodeksu Nieczajewa, co?”. Ja myślę skąd ten dupek wie o Nieczajewie? Bo ci dziennikarze nie byli specjalnie wykształconymi. Nieczajew to był ten nihilista rosyjski, który tworzył taką, chciał niby stworzyć taką siatkę tych, nie pamiętam nazwy, „piątek” czy „szóstek”, takich małych komórek rewolucyjnych i scementować tym, że oni mieli zabić swojego jednego członka, co ta wspólnota zbrodni by ich związała ze sobą. To Dostojewski w „Biesach”, „Biesy” napisał w dużej mierze po obserwacji procesu Nieczajewa, bo został schwytyany, wsadzony i ta sprawa wyszła. A więc o co chodziło w Kodeksie Nieczajewa? Generalnie można powiedzieć, streścić go w jednym zdaniu: wszystko co służy rewolucji jest dobre, wszystko co jest przeciwne jest

złe. Wszystko, dosłownie wszystko: morderstwo każde, każda zbrodnia służąca rewolucji jest dobrem, pisze wprost. I stwierdza, kiedy mówi: „naczytało się Kodeksu Nieczajewa...”, do mnie, po śmierci Staszka, to co on mówi? Jesteśmy grupką, ktoś zginął z naszej grupki. Kto? Czyli myśmy zabili jednego ze swoich ludzi po to, żeby to sprzedać jakoś propagandowo i scementować swoją grupę. Ja to od razu widziałem. Wyrzuciłem ich później, od razu, po tym. I ten drugi, którego potem spotkałem, jak opisałem to spotkanie w „Cieniach moich czasów”, nie chce teraz zajmować czasu, dość długo to by trwało. Ten drugi, oni najprawdopodobniej, jestem pewny, byli agentami równocześnie SB. Tu ich wpuszczono... Ten powiedział mi: „myśmy napisali swój tekst, ale na szczęście, już w III RP, na szczęście nasz redaktor Trybuny Ludu był na tyle rozumny, że nie dał tego, bo myśmy tam porobili różne, myśmy wtedy inaczej sprawę widzieli, myśmy po wyjściu od Pana byli u szefa Komitetu Wojewódzkiego PZPR, on nam też wyjaśniał sprawę, więc to jest opowieść jedna. Potem usłyszałem trochę, potem oni gdzieś puszczali tę historię, gdzieś to musiała być, myślę, jedna z interpretacji, którą oni chcieli wykorzystać, w każdym razie SB-cja, której urwano głowę. To znaczy oskarżyć nas o to, że to myśmy zrobili. Znaczący ja nie twierdzę, że to była jakaś dominująca, ale to byłoby bardzo perwersyjne, bo jeżeli by się wsadziło członków ówczesnej opozycji za to, że zabili tam swojego towarzysza, no to po pierwsze wszyscy w Polsce wiedzieliby, że to jest łgarstwo, ale drugie, no to byłby element prawdziwego terroru, to może służyć zastraszaniu. Potem kiedyś nas wciągano w jakąś dyskusję w radiu studenckim na ten temat, ja się zgodziłem. Ale powiedziałem, że na żywo. Oni powiedzieli: „nie nie, tak nie ma, to jest nagranie”. To mówię: „nie, nie”. Ale zaczęliśmy w związku z tym, to było w akademiku, dyskutować. Tłum się zebrał w tej studni na klatce schodowej. I w pewnym momencie ten typek z tego radia mówi: „a kto największy kapitał zbił na śmierć Pyjasa? No kto?”. To było do nas. Więc to jest odpowiedź na Pana jedno pytanie. Więc teoretycznie czy to miał być element rozprawy z opozycją, w której można nas oskarżyć o to? Oczywiście, tego nie wiem, ale pamiętam, że oni wtedy w ogóle zaczęli tak... Pobili kilku, zaczęli ostrzej działać. To jest odpowiedź na jedno pytanie. Na drugie pytanie to jest bardziej generalne. To znaczy jakkolwiek działalność może być potraktowana zawsze jako punkt wyjścia do tego, żeby wzmocnić represje albo wykorzystać prowokacyjnie. Jeżeli człowiek by się tego bał, to musi rezygnować z jakiegokolwiek działalności. To zresztą było bardzo charakterystyczne, że myśmy, jak żeśmy rozmawiali w dowolnej sprawie, robili jakieś akcje, np. zbierali podpisy. To pierwsza rzecz, z którą spotykaliśmy się, to było bardzo charakterystyczne dla tej mentalności peerelowskiej, takiego uwewnętrznionego zarówno strachu, jak i poczucia wszechwładzy komuny, która była absolutna wtedy, jeszcze w latach 70-tych. Pierwsze było pytanie: No dobra, Wy tak sobie chodźcie, działacie, będę używał tego żargonu, przeciwko państwu, a państwo Wam na to pozwala, tzn. ono ma w tym interes. W podtekście jesteście prowokatorami, żeby wyjąć jakiegoś Jasia Kowalskiego, który spokojnie siedzi w swojej dziupli i żeby sprawdzić, czy on przypadkiem nie ma jakiś pomysłów opozycyjnych, a jak podpisze coś, co go załatwi. To nie jest żart. To były bardzo powszechne zachowania i powszechne reakcje. Była bardzo charakterystyczna reakcja wielu uniwersyteckich, przyzwoitych naukowców. Oni nas nie znosili. Nie mówię wszyscy, byli tacy, z którymi absolutnie żeśmy... Część nas nie znosiła, bo uznawała nas za niedoważonych właśnie, nawet nie prowokatorów, tylko niedoświadczonych gówniarzy, którzy organizują prowokację, która doprowadzi do tego, że te wolności, które im się udało osiągnąć, np. na uniwersytecie, zostaną im odebrane. Oni pamiętali stalinizm doskonale, pamiętali czas Gomułki, to za czasów Gierka było relatywnie, na uniwersytecie było swobodniej. Więc oni uznawali, że to jest już taki pułap. Bardzo charakterystyczne zachowanie Walickiego, Andrzeja Walickiego, który był w ogóle taki... Oni w ogóle nie lubili Solidarności potem. Ale to już mniejsza o to. W każdym razie to było bardzo charakterystyczne. Więc mówię jeszcze raz, jeślibyśmy, jeśli przyjąć tę interpretację, no to wtedy trzeba by rzeczywiście siedzieć w swo-

im kąciku i trząść się. Było poszukiwanie, takie można powiedzieć, prywatne śledztwa. Tutaj było wskazywanie na Bogusława Sonika. Jacek Kuroń też miał swoją wersję. Była mowa o tym, że bokser Węclewicz, a tu kryminalista na Montelupich... Różne tropy w poszukiwaniu waszego, tak jakby prywatnego śledztwa. I jak Pan to dzisiaj ocenia i w którym kierunku? Nasze prywatne śledztwo było bez szans w tamtych warunkach, absolutnie bez szans. Ja to już wtedy widziałem, ja to widziałem. Jak tylko miałem jakąś możliwość, zawsze przypadkowo nawet się coś można dowiedzieć, zdawałem sobie sprawy, że to jest bez szans. Jeśli chodzi o Węclewicza, to nie była to nasza, to nie był to nasz... Moim zdaniem to adwokat... Nie, to prokurator chyba Urbaniak chyba..., już nie pamiętam, ale to jest sprawa moim zdaniem ewidentna, którą zakłamał w sposób niebywały Łazarewicz. No bo to jest historia taka – mamy do czynienia z facetem, który jest agentem SB. Ten agent SB, który jest alkoholikiem przy okazji, spotyka się z innym agentem SB, ale nie wie, że to jest agent SB, o tym drugim nie wie i mówi mu, piją, trochę wypili i nie mają forsę na picie dalej. Dwie pięćdziesiątki wypili, coś takiego, dokładnie, bo to wszystko jest w śledztwie. I on, zapomniałem nazwiska, ale to jest w tym moim tekście, mojej odpowiedzi Łazarewiczowi. I on mówi: Ja mam faceta, który jest mi winien 100 czy 200 dolarów, nie pamiętam, to wtedy duże pieniądze, za załatwienie Pyjasa, a ciągle nie zapłacił mi tego i ja do niego pójde i on da mi pieniądze. Bo musi mi dać te pieniądze. Ciągle się spóźnia. Idzie i znika. Mają się spotkać i znika. I co się dzieje? Idzie do faceta, do swojego prowadzącego oficera. Prowadzą jakiś tam dialog, on wychodzi i ginie, spadając ze schodów. A ten facet mówi do swojej konkubiny, żeby natychmiast zbierali się i uciekali. I się schowali, na wszelki wypadek. Po czym po paru dniach zgłasza się ten drugi agent, ten, który to wszystko słyszał od Węclewicza, na SB i domaga się znowu jakichś 200 dolarów czy 100 dolarów za niezwykle ważny raport. Oni się tam z nim drczą. Wreszcie mówią, jednoznacznie, to mówi ważny oficer. Znowu ja to wszystko opisałem, tyle papieru, że nie pamiętam. Z jego relacji: i on przyjmuje to, jeden z szefów SB-ecji krakowskiej. To chyba Gołębiewski, przyjmuje ten raport. Płaci mu 50 dolarów, a mówi, że „na razie, resztę zapłaci mu później”. I nie przekazuje tego dokumentu nigdzie. Jest ta relacja, że za załatwienie Pyjasa ten te ma te pieniądze. Teraz w oparciu o oczywiście o najbardziej wiarygodne wyznania esbeków Łazarewicz pisze: a ten, który złożył ten raport, był jakimś mitomanem. Więc przychodzi wariat, mitoman do SB, żąda od nich pieniędzy, a oni mu płacą 50 dolarów i robią raport z tego. 50 dolarów, to było dużo pieniędzy wtedy. Wtedy średnia pensja była mniejsza, na czarnym rynku, czyli takim, który funkcjonował, to było mniej niż średnia, to było więcej niż średnia pensja miesięczna. I oni tak sobie płacą wariatów, żeby im dał spokój? I zbierają jego. Gołębiewski za to stanął przed sądem za to, że nie przekazał, a miał obowiązek przekazać to, a zostawił to. Niby nie utajnił, bo to leżało sobie, ale nie przekazał tego nigdzie dalej. Do czasów, 90-tych lat, to dalej nie poszło. I on twierdził, Łazarewicz, że to w ogóle nie ma czym się zajmować, bo to jakiś ten..., a ten spadł ze schodów, no to spadł ze schodów. Tylko że on nie rozpisuje dalej, nie opisuje co się dzieje, co się działo z tym prowadzącym, tego wszystkiego. Ja to znowu mówię, w tym artykule napisałem. Więc to jest trochę inna sprawa. Moim zdaniem to jest wręcz dowód na to, że ten Węclewicz mówił prawdę. W ogóle nie jest powiedziane, bo nie wiem dlaczego wszyscy twierdzą, że on był za słaby, żeby sam to załatwić. Kto powiedział, że sam? Nigdzie nie powiedział, że sam. Kto mówił, że to jedna osoba załatwiła Staszka? Później procesował się Pan z biegłym sądowym. Nie z biegłym. Z szefem Zakładu Medycyny Sądowej, profesorem Markiem [Zdzisław Marek], który oczywiście był biegłym również, ma Pan rację. Było też sugerowanie blokowania śledztwa przez Andrzeja Milczanowskiego. Było, nie sugerowanie. Wciąż Pan prowadzi tą sprawę. To też jest przykład jakby, tej historii, która jest właściwie do dzisiaj niewyjaśniona. To jest mój obowiązek. Niby kto to miał robić, jak nie jego najbliższy przyjaciel? Ja byłem jego najbliższym przyjacielem. Więc ja próbowałem to robić, ze średnim skutkiem, ale coś... Tak samo jak ten pomnik, który

stanął, jest pomnik, to też była moja inicjatywa. Więc jakoś tam, myślę, że jakoś żeśmy zarówno pamięć o tym, pomimo tych wszystkich prób, znowu rewizji tej, jakoś przekazali, chociaż tyle. To wiadomo, że to SB-cja. My już nie dojdziemy kto indywidualny, personalny, to za dużo czasu. Nie wierzę w to. Ja jeszcze próbowałem, rozmawiałem z tymi, z takimi oficerami policji, teraz z tych, jak oni się nazywają, mają specjalną nazwę, którzy dochodzą starych spraw. Słucham... Tak, Archiwum X. Jak się takie sprawy robi? I oni powiedzieli mniej więcej technikę, jakie można... To oczywiście nic nie gwarantuje. Ja potem pamiętam, jeszcze wtedy dzwoniłem do Schetyny, który był wtedy szefem MSW i mówię do niego, jeszcze miałem jego telefon, bo to było... „słuchaj, czy nie można by było spróbować, wykorzystać to...”. „A, nie znasz się nic na tym, dlaczego ty dochodzisz...?”. Ja się nie znam, ale mówię: „Ty też się nie znasz”, mówię do niego, ale ja odwoływałem się do tych, którzy się znają. Nie mamy pewności, że to coś da, ale możemy spróbować i należy spróbować. „A dobra, to ja się pytam...” Oczywiście nie oddzwonił. To jeszcze było to... To są te stare znajomości, które ja jeszcze mam, że na „ty” jestem ze Schetyną, Tuskiem. Mniejsza o to. Są dużo młodsi ode mnie ludzie, ale to już inna sprawa. No więc cóż. Tyle, że teraz mogę co najwyżej odpowiedzieć na takie teksty jak Łazarewicz. Chciałem dopytać o żonę. Jak państwo, jak Pan poznał żonę? Ja przyznam się szczerze, jak czytałem Pana wspomnienia, zaintrygowały mnie te Pana i Pana żony podróże. Najpierw te podróże od 1980 roku, Sztokholm, tutaj opisujecie, później jeszcze jest podróż na południe, do Włoch. Czytając to, to były ciekawe historie, ale też chciałbym do tego początku wrócić. Czyli jak państwo się poznaliście? My poznaliśmy się w tej ostatniej klasie szkoły średniej, bo ja przyszedłem do szkoły dlatego, że miałem awanturę ze swoim nauczycielem ze szkoły średniej. No mniejsza o to, nie chce mi się mówić. Takim polonistą, który zaczął do mnie wrzeszczeć i mnie złapał za kłapy. On duży chłop był, ale ja mówiłem, byłem sprawny. Ja jemu nic nie zrobiłem, tylko wziąłem i stuknąłem nim o ścianę. No, a to jednak uznali, że wywalili mnie z tej szkoły. I zaczęło chodzić, że pobiłem nauczyciela. Jakbym miał go pobić, to by inaczej wyglądało, ale w każdym razie, więc moja żona, która zbuntowana wtedy dziewczynka przybiegła mnie zobaczyć i strasznie się rozczarowała, jak mi potem powiedziała. To było widać od razu, poznać mnie... Ale potem, jak żeśmy się poznali byliśmy taką parą kolegów, o tym pisałem. Ale potem, nagle, tak jak to często bywa w takim młodym wieku, byliśmy taką parą kolegów, żadnych tam erotycznych spraw, ale nagle okazało się, staliśmy się parą. To był 1972 rok, na początku 1972 roku, więc nasz związek liczy w tej chwili 52 lata. No i od tego czasu jesteśmy parą. Potem żeśmy wzięli ślub, zwyczajny, potem kościelny. To stosunkowo niedawno, ale już też dość dawno. No, cywilny to była taka opozycyjna, sławna impreza. No i tak. To jest tak, ja sobie nie wyobrażam bez niej życia. To normalne.